

# Disce puer, czyli elita rozwojowa

Ukazał się kolejny ranking szanghajski, oceniający 500 najlepszych uniwersytetów na świecie. Z polskich mamy Uniwersytet Warszawski oraz Uniwersytet Jagielloński, obydwa w ostatniej setce. Pozostałe polskie uczelnie nie mają tam czego szukać. Owszem, ranking szanghajski jest nieco krzywdzący – preferuje bowiem uczelnie techniczne i ścisłe. Podobnych list rankingowych jest wszakże więcej, niektóre zadziwiają solidnością kryteriów, jak na przykład ten sporządzany co pół roku przez Uniwersytet w Madrycie. W tym rankingu jest nieco lepiej – UJ znajduje się w czwartej setce.

Wiele już mówiliśmy o elitach, ale stanu posiadania Zielonej Góry jeszcze nie mamy. Nie zgadzam się bowiem z diagnozą, że wszyscy najlepsi z miasta pouciekali, a ci, co zostali, są zbyt słabi, by liczyć się choćby w regionalnej rozgrywce. Nie znam się na kulturze, więc o niej mówić nie będę. Bankowca kojarzę z uroczą obsługą (albo potężną kolejką) i z tym, że banki w tajemniczy sposób dają (lub nie) pieniądze. Lokali gastronomicznych oceniać nie chcę, dziennikarzem nie jestem, biznesmenów oglądam czasami w jakichś dziwnych samochodach. To zostawiam.

Myślę sobie jednak, że coś o edukacji po dwudziestu kilku latach pracy w zawodzie powiedzieć mogę. A jeśli szukam markera odnoszącego się do „stanu lubuskiego posiadania”, to mam nadzieję, że wiem, czego szukam.

Nie będę pisał, bo po co, lepiej wiedzący ode mnie i tak wiedzą lepiej, że nasz uniwersytet (gromki śmiech, przynajmniej w Zielonej Górze proszę...) wylądował na 1 483 miejscu we wspomnianym rankingu madryckim. No i widzicie, nie mówiłem? Wprawdzie oceniano 12 000 instytucji naukowych, ale co tam. Niechby nawet UJ zajmował miejsce 363, druga polska uczelnia, AGH, miejsce 537, natomiast Uniwersytet w Olsztynie 1 857, Szczeciński – 2 909, a Opolski – 3 761. Tak to wygląda z boku, bez polskiego zacietrzewienia i wedle w miarę obiektywnych kryteriów. Ale gdzie tam, mantra brzmi – jesteśmy najgorsi. Najgorsze są jednak kompleksy, zdecydowanie małomiasteczkowe kompleksy. Jeśli to Zielona Góra, to na pewno do niczego. Jakoś nie mają tego problemu w Opolu czy w Rzeszowie (3 094 miejsce), a miasta są porównywalne. Coś więc w nas tkwi, powtarzane wciąż w niektórych środowiskach. Słusznie? (no słusznie, oczywista oczywistość...)

Cóż więc wybrać jako przykład? Najlepiej humanistyczny, bo na naukach ścisłych się nie znam. Na humanistycznych też chyba nie, no bo przecież bym się nie wygłupiał i nie próbował udowodniać rzeczy nie do udowodnienia.

W lipcu nasz uniwersytet organizował trzecią edycję międzynarodowych spotkań naukowych historyków CompaRaison. Właściwie to nic wielkiego, takie spotkania zdarzają się często, i nie

tylko w kraju. Dlatego nie o tym. W imprezie brali udział naukowcy i studenci z Niemiec (Poczdami, Jena) oraz z Francji (Paryż, Wersal). To był ostatni przystanek projektu, wcześniej gościliśmy w Poczdamie i w Paryżu. To tak na marginesie, choć wiem, że Paryż do Wrocławia (752 miejsc) czy Poznania (690) nawet się nie umywa.

A co ma do tego elita? Z założenia rozmowy miały dotyczyć wymiany kulturowej i odmiennej mentalności. I co się okazało?

Pierwsza refleksja przyszła jeszcze w ubiegłym roku w Paryżu, kiedy wysłuchaliśmy kilku wykładów na temat tolerancji. Tolerancji kulturowej, ale przede wszystkim religijnej, tolerancji za wszelką, niekiedy absurdalną cenę. No dobrze, w końcu prawo gospodarzy. Zastanawiało coś innego – dlaczego w sercu cywilizowanej Europy wciąż indoktrynuje się ludzi, obojętnie w którą stronę. Chociaż z przyjaciółmi z Poczdamu gadało się znakomicie, Francuzi wyraźnie nas (i Niemców) unikali. Nie ten poziom.

Ale to było we Francji. Sobie myśleliśmy. W Polsce pewnie będzie inaczej – przyjadą, to nas oświecą. W końcu to w tamtej części Europy kiełkowała nowoczesna cywilizacja, podczas gdy w naszej dorzynano ostatnie niedźwiedzie.

Jedno ze spotkań tegorocznych CompaRaisons dotyczyło religii. Przyjął nas gościnny Paradyż, który wiele już w swej historii widział i wiele dysput przeżył. Szykowaliśmy się na być może kontrowersyjną, ale rzeczową i budującą dyskusję. W końcu bez religii, jakiegokolwiek religii, społeczeństwa nie istnieją. Tak się przynajmniej wydawało do pewnego lipcowego poranka.

Studenci naszego uniwersytetu przygotowali prezentację i zgrabnie ją przedstawili, tym razem po angielsku i po niemiecku. Francuzi słuchali uważnie, ale coraz bardziej nerwowo. Jakże to tak, bez skrępowania mówić o religii, przytaczać historyczne przykłady i nie wpadać w jakikolwiek fanatyzm? Niepodobna.

Toteż reakcja była natychmiastowa. Poważny francuski profesor wyłożył nam po francusku obowiązujące w Europie stanowisko. Zresztą, w tej innej Europie. Jak stwierdził, Polska oraz inne kraje

bałkańskie, powinny się wiele jeszcze nauczyć. Właściwie to żadna różnica, z perspektywy Paryża rzeczywiście – Belgrad, Sofia czy Warszawa to jednakowo prowincja.

Potem było jeszcze ciekawiej. Okazało się bowiem, że zupełnie opacznie pojmujemy misję uniwersytecką. Profesor wielokrotnie podkreślał, że jest nauczycielem akademickim, i że jako taki profesor nie wyobraża sobie... We Francji nie ma miejsca na naukową debatę o religii, nie wolno o tym mówić, bo to zaburza laickość państwa. No dobrze, właściwie, jeśli Francuzi sobie tego życzą, mogą robić tak, a nie inaczej. Ale dlaczego my mamy się tak samo zachowywać? A jeżeli nie, nie jesteśmy żadnymi partnerami intelektualnymi. Jesteśmy poniżej pewnego poziomu, niżej na przykład od pewnego paryskiego dentysty, który wezwał policję, gdy pojawiła się u niego pacjentka w czadorze. Nie ze względu na niebezpieczeństwo, które stwarzała, ale dlatego że manifestowała w ten sposób swoje przekonania religijne. Tu profesor spojrział wymownie na wiszący na ścianie sali krucyfiks, ale szybko się zreflektował. Niech wisi.

W tym momencie zgłosiła się studentka z Uniwersytetu w Jenie. Zaczęła po francusku, pewnie z szacunku dla profesora. Ten jednak mruknął do niej: „Niech pani mówi po angielsku, bo pani angielski jest dużo lepszy niż francuski”. Elegancki mężczyzna wyraził się więc jasno. Studentka, niestety, jak to Niemka, nie zrozumiała aluzji i przeszła na angielski. Zapytała profesora, jakie racjonalne argumenty każą ograniczać wolność człowieka, w tym wolność wyznania. Usłyszała w odpowiedzi, że to fałszywe i prowincjonalne myślenie. Nie zastanawiając się długo, machnęła lekceważąco ręką i wyszła.

Najwłaściwiej w tym wszystkim zachowali się studenci. Polscy i niemieccy chcieli przeprowadzić dyskusję, francuscy milczeli. Zresztą już później, w Warszawie, młodzi Francuzi przepraszali Polaków za zachowanie starszych. Wnioski?

Odnieśmy się do młodych ludzi. Studenci UZ to w większości (choć nie do końca, uczy się u nas coraz więcej osób z najróżniejszych stron świata)

mieszkańcy naszego regionu, przede wszystkim spoza Zielonej Góry. Tak się utarło, że są to ludzie mniej zdolni, którzy idą na studia niedaleko, bo gdzie indziej nie daliby sobie rady. Trudno o większą bzdurę.

W każdym ośrodku można znaleźć lepszych i gorszych, ale nie powinniśmy patrzeć na sprawę w ten sposób. Chodzi przede wszystkim o otwartość na świat, nowe idee, ludzi i sytuacje. Nie ma nic gorszego niż społeczna i kulturowa klaustrofobia.

Miałem okazję poznać wielu zielonogórskich studentów, podczas pracy w międzynarodowym towarzystwie. To solidny poziom, nie tylko intelektualny. Nie mamy się czego wstydić, ci młodzi ludzie sprawdzają się wszędzie.

A teraz właściwie wnioski. Nie wiadomo dlaczego, nie umiemy wytworzyć w Zielonej Górze atmosfery intelektualnego tygła. Środowiska tzw. opiniotwórcze zachwycają się byle chałturą (najlepiej warszawską), a nie potrafią wypromować tego, co rzeczywiście dla nas istotne. Gdy słyszę narzekania typu: muszę wyjechać z Zielonej Góry, bo tu nie mam żadnych perspektyw – to zastanawiam się, gdzie w tym wszystkim jest logika.

Przecież nie chodzi o to, by z miasta nie wyjeżdżać. To nawet korzystne, gdyż warto poznać świat i ludzi. Ale jeśli wystarczy nam podrzędne stanowisko we Wrocławiu, Poznaniu czy Warszawie – ze świadomością, że nie jesteśmy w stanie przekroczyć pewnego progu, bo tamtejsze zasiedziały „elity” zawsze będą nas traktować jak prowincjusza – w porządku. Nie tłumaczmy tylko młodym ludziom, że wystarczy wyjechać i już wszystko będzie łatwiejsze. To nie jest prawdą, a nieliczne wyjątki ludzi, którzy zrobili ogólnopolską karierę (by wspomnieć Tomasza Lisa), tylko ją potwierdzają.

W Zielonej Górze nigdy nie będzie perspektyw, jeśli młodzi ludzie nie będą wracać. To oczywiście nie jest ich wina, że nie wracają. To raczej wina tych zgorzkniałych, którym się wydaje, że zostając w mieście, przegrali swą życiową szansę. To raczej wina karierowiczów, którzy zrobią wszystko, by młodego człowieka nie dopuścić do atrakcyjnej pracy – bo na przykład nie jest z tej koterii. To

raczej wina zaściankowo myślących, dla których świat kończy się na prymitywnej wojence z Gorzowem. ltd.

Nie chodzi więc o to, że wytworzenie w Zielonej Górze elit jest niemożliwe, a raczej o to, byśmy w taki obrót spraw uwierzyli. Tym bardziej że mamy spore atuty. Nie tak dawno odwiedził nasz uniwersytet przedstawiciel uczelni z francuskiego Caen (w rankingu kilkanaście miejsc niżej od UJ) i zaproponował współpracę przy realizacji europejskiego projektu „tożsamości miejsc”. Kiedy zapytałem go, dlaczego wybrał właśnie Zieloną Górę – podał kilka ciekawych powodów: po pierwsze, stwierdził, jesteście niewielkim miastem z przyzwoitym uniwersytetem, zatem z pewnością lokalne środowiska mocno wspierają swoją uczelnię. Po wtóre, dowodził, okolice go zauroczyły – przede wszystkim krajobraz. I wreszcie najważniejsze – jesteście w Europie, powiedziały. Na wątpiące spojrzenie zdziwił się i dodał – no przecież to tylko godzina drogi od Berlina.

W ten sposób określił, co widać z boku. Nie dodał, bo nie mógł tego wiedzieć, że pobliskie ośrodki akademickie zaczynają traktować nas jako konkurencję, przynajmniej w niektórych dziedzinach badawczych i kierunkach studiów (niewiele osób w mieście wie na przykład, że cztery wydziały mają najwyższą kategorię ministerialną, a to oznacza, że są klasyfikowane wśród około 50 takich jednostek w kraju). Papierkiem lakmusem jest oczywiście rekrutacja – jeśli ktoś chce studiować prawo bądź medycynę, wybiera inny ośrodek, ale pozostali coraz częściej zaglądną do nas.

Oczywiście, niczego nie można zadekretować. Nie chodzi o to, by oszukiwać młodych ludzi, mówiąc im, że po ukończeniu UZ świat będzie u ich stóp. Podobnie zresztą jak po UAM, UJ, UW itp. Wszędzie można pracować i wszędzie można osiągnąć sukces, jeśli się tego chce. Gdy słyszę więc ucznia jednego z liceów w Zielonej Górze, deklarującego, że zamierza wyjechać na studia gdzieś dalej – to w porządku. Ale jeśli słyszę tu i ówdzie, także wśród nauczycieli, że UZ jest do niczego – inna sprawa. Nikt nie każe tu studiować,

ale obrzydzenie miasta, deprecjonowanie jego rzeczywistych osiągnięć, powtarzanie, że Warszawa, Wrocław czy Poznań – jest wobec własnego miasta nieprzyzwoitością. Jeśli takie podejście się nie zmieni, wciąż będziemy marnować szansę, jaką jeszcze mamy. A tym to boleśniej, że dotyczy najmłodszych.

Okazuje się bowiem, że prowincją jest się na własne życzenie. Prowincją jest się mentalnie, bo ma się kompleksy. A z kompleksami żadnej elity zbudować nie można. A skoro nie można, nie ma też szans na nawiązanie dialogu z kimkolwiek. A to już jest zaścianek.

Trzeba więc zacząć dobrze mówić o mieście i o regionie. Nie trzeba się bać, że ktoś z Warszawy nas wyśmieje – jedna linia metra to też jest prowincja. Stosujmy tylko właściwe proporcje – Zielona Góra nigdy nie będzie Wrocławiem. Po co? Wykorzystajmy tylko te atuty, które posiadamy.

A zatem, konkluzja. Elita młodzieżowa w Zielonej Górze istnieje, chociaż po maturze z miasta wyjeżdża i w zbyt wielu wypadkach nie wraca. Jeśli pozwalamy na taki drenaż, jeśli nie mamy w rękę niczego, by młodych odzyskać – umieramy. A Zielona Góra jest przecież za młoda, by umierać.

